

DOŁHOBRODY

Tutaj jesienią na gałęziach pod żółtym listowiem chybocą się nitki pajęczyn, z których otrząsa się mgła. Wierzby przycupnięte na kolana trwają, niby wierne, posiwiałe zakonnice, pochylone do modlitwy. Skrzypiące oddechy twardej kory witają hiścia blasków.

Na zżętych łąkach leży dużo – dużo papierowych latawców, pod którymi schował się żiwuronok wśród iglastych porostów. Kapie błękit lekko narzucony z góry, i z poświatą jasną jak szkło – w dali koleinami jadą kopiaste fury z chlebem w kłosach.

Oczka wodne przymykają cienką lodu powiekę – nie sadownik w obłokach ziemię tę zorał, nie sadownik jałowiec pielęgnował, nie sadownik zbierał ziarna z jęczmiennego pola – lecz z horyłką przypiętą do pasa jurny staruszek, z bergamotką duszy.

Las migoce jak wielki anioł złocisty, w czerwonej aureoli, co w drzewach zapala świece. Rozpostarte, wyschnięte konary chrupie ognisk żar: pora pieczonych kartofli i dymu wciąganego w płuca, po jakim z winy księżycy i Wielkiej Niedźwiedzicy idzie pośmich z tej, co

kosą próbuje rozciąć wiatr.